

ZWŁOKI NIEZNANE

Nadchodzi nie mniej upalna noc. O godzinie 2:25, dyspozytorka krynickiego pogotowia ratunkowego odbiera telefoniczne zgłoszenie o mężczyźnie w agonii na dworcu autobusowym. Karetka dociera na miejsce w niecałe pięć minut.

Leżący mężczyzna ma na sobie flanelową koszulę z długim rękawem. Dziwne, jak na panujące upały.

- Podwinęłam mu rękaw koszuli przed zrobieniem tak zwanego wstrząsowego zastrzyku - mówiła sanitariuszka Elżbieta Kobieska.

Reanimację prowadzono w zasadzie pro forma. Ekipa pogotowia stwierdziła u ratowanego brak oddechu, ciepłość ciała nie taką, jak u żywego człowieka, źrenice nie reagujące na światło, brak akcji serca i powłoki skórne zasinione.

- Miałam do czynienia z nieboszczykiem - przyznała lekarka Katarzyna Frysztak.

Nie zauważyła na twarzy, ani na głowie reanimowanego żadnych otarć wskazujących, że zanim zmarł miał jakąś nieprzyjemną przygodę.

- Klęczałam w pobliżu jego głowy. Stosując aparat Ambu do wentylacji płuc, pochyliłam się nad nim mniej więcej 20 centymetrów. Na twarzy mężczyzny nie zauważyłam jakichkolwiek śladów obrażeń. Gdyby były otarcia naskórka, z podbiegnięciami krwawymi, dostrzegłabym je z pewnością.

Karetka powraca do bazy przed trzecią. Dyspozytorka zawiadamia o zdarzeniu posterunek milicji. Kilkadziesiąt minut później ciało denata ogląda sierżant MO, Kazimierz Pekura. Rutynowo sprawdza garderobę zmarłego. Szuka jego dokumentów. Bezowocnie. Kieszenie puste. Sierżant rozgląda się wokół i w zaroślach znajduje dowód osobisty. Wraca na posterunek przeświadczony, że ustalił personalia zmarłego. Wykręca numer telefonu pogotowia ratunkowego.

- Mam dowód osobisty zmarłego na nazwisko „Bogucki” - mówi lekarce dyżurnej. - Przewidyuję personalia, byście mogli wystawić akt zgonu.

- Nie mogę wypisać dokumentu na podstawie przekazu telefonicznego - odpowiada rzeczowo i zgodnie z pragmatyką służbową lekarka. - Proszę przywieźć dowód do nas.

- Nie mogę, bo jestem sam na posterunku. Niech pani przyśle karetkę - proponuje sierżant.

- Wykluczone. Jak rano wzmocnią pana koledzy, dostarczycie nam dowód denata.

Sierżant telefonuje następnie do dyżurującego w Elblągu prokuratora. Chociaż to przysłowiowe abecadło, nikt nie fotografuje miejsca znalezienia ciała zmarłego. To poważny błąd w sztuce kryminalnej.

Rankiem, 11 lipca 1989 roku, mieszkańcy Krynicy przekazują sobie z ust do ust hiobową wieść. Ułożone w pozycji siedzącej ciało, spoczywa oparte o ścianę budynku dyspozytorskiej dworcowej kilka godzin. Nikt z miejscowych, ani urlopowiczów nie rozpoznaje w zmarłym znajomego.

Około południa przybywa do komisariatu mężczyzna i zgłasza zaginięcie dowodu osobistego.

- A jak wasze nazwisko?

- Bogucki.

Dokument nie należał do denata, lecz człowieka żyjącego jeszcze... Skoro tak, kim był martwy mężczyzna?

Barman K. w 1989 roku stwierdził, że na czarno-białej pośmiertnej fotografii twarzy - poranionej i w strupach - rozpoznał mężczyznę, który na co najmniej dwie i pół godziny przed domniemanym czasem swojego zgonu miał siedzieć na stołku w barze w Rivierze i spożywać nadmierne ilości alkoholu:

- Był w towarzystwie innego mężczyzny o charakterystycznej, łatwej do zapamiętania fizjonomii. Wysoki, barczysty, z wąsami i bujnymi włosami. Szpakowatymi, wręcz białymi.

Po rozpoznaniu w prosektorium elbląskiego szpitala zwłok nieznanego mężczyzny jako ciała księdza Sylwestra Zycha, prokuratura zarządziła operacyjne poszukiwanie jego rzekomego towarzysza z baru Riviera.

Barman z dyskoteki młodzieżowej „Riviera” Grzegorz K. przypomina sobie, że o zmarłym mówiono, jakoby miał być lekarzem z Grudziądza:

- Informację o lekarzu usłyszałem po przyjeździe do pracy w Rivierze. Nie przypominam sobie czy od kogoś z personelu czy może od jakiegoś klienta. Uważałem, że to ważna wiadomość, więc podczas pierwszego przesłuchania w przekazałem ją przesłuchującemu. Prokurator M. nie był jednak zadowolony. Zbył mnie stwierdzeniem w rodzaju:

- Niech pan nie miesza. Proszę o tym nie mówić, bo nie ma to znaczenia dla dochodzenia.

Sierżant Pekura oprócz znalezienia dowodu tożsamości na dworcu autobusowym znalazł jeszcze coś. Mianowicie - pustą butelkę po wódce o nazwie Wytrawna Szczecińska. Uznał, że butelka nie może mieć związku z martwym mężczyzną, więc nałożył ją na wystający z ziemi patyk i pozostawił na miejscu. Po kilku dniach śledztwa znaczenie owej butelki niespodziewanie wzrosło.

- Czy Szczecińską Wytrawną można było nabyć w Rivierze?

- Skąd! - protestuje eksbarman. - Nigdy! Mniej więcej co dwa, trzy dni osobiście jeździłem do Trójmiasta po zaopatrzenie alkoholowe. Przywoziłem głównie wódkę Wyborową, ponieważ miała u nas największe powodzenie. Chcę wyraźnie powiedzieć, że wódka o nazwie Szczecińska Wytrawna nigdy nie była sprzedawana w naszym barze. A więc ani zmarły, ani nikt inny nie mógł u nas jej zakupić.

ZAGADKA BARU DYSKOTEKI RIVIERA

O znalezieniu martwego księdza Sylwestra Zycha dowiedziałem się z dziennika telewizyjnego. Nazajutrz udałem się do Krynicy Morskiej, gdzie kapłana miała spotkać śmierć, oraz do Elbląga, gdzie prokuratura miała rozpocząć śledztwo w tej sprawie. Szef Prokuratury rejonowej - wyraźnie poirytowany nagabywaniem dziennikarzy - nie potrafił, albo nie chciał ukryć niezadowolenia:

- Czego wy tu szukacie?! Sensacji?! - powiedział tonem ostrym i stawiającym rozmówce w roli intruza. - Przecież wszystko jest jasne! Ksiądz zapił się na śmierć! Gdybym ja się zapił, to nie wzbudziłoby takiego zainteresowania mediów.

To zaskakujące, raczej niespotykane prokuratorskie oświadczenie. Wypowiedzi prokuratora nie można więc było pozostawić samej sobie, że tak powiem.

- Co do reakcji dziennikarzy w sprawie pana hipotetycznej śmierci z powodu zapicia się - pan prokurator ma pewnie rację. Sytuacja jest jednak nieco inna. Pan żyje - i dobrze - a tymczasem idzie o wyjaśnienie okoliczności zgonu księdza Zycha, postaci znanej, żeby nie powiedzieć - osoby publicznej. Chciałbym wiedzieć, skąd pan prokurator zna wynik śledztwa, skoro - na dobrą sprawę - ono jeszcze się nie rozpoczęło?

Szef „rejonówki” zdumiał się na takie dictum. Zaraz jednak ripostował:

- Będziemy słuchali świadków, którzy księdza widzieli kilka godzin przed śmiercią spożywającego alkohol. i to w dużych ilościach.

- Kim są ci świadkowie? - spytałem zaciekawiony. - W jaki sposób prokuratura natrafiła na ich ślad?

- W sposób operacyjny. Ze względu na dobro śledztwa, więcej - na razie - powiedzieć nie mogę. Bo przecież obowiązuje mnie tajemnica śledztwa.

Prokuratorskie dobro śledztwa nimb tajemniczości jednak rychło straciło i to w okolicznościach całkiem niespodziewanych. Staraniem telewizji, którą kierował wówczas sam Jerzy Urban.

W sobotę, 15 lipca 1989 roku, w głównym wydaniu DTV, wyemitowany został pseudoreportaż autorstwa Witolda Gołębiowskiego z Gdańska. W rolach głównych wystąpiły

trzy osoby zatrudnione w dyskotecie młodzieżowej Riviera w Krynicy Morskiej: Joanna U., Dariusz O. i Grzegorz K. Personel lokalu przed kamerami nadzwyczaj zgodnie z e z n a w a ł, jakoby zmarły ksiądz, jakieś dwie, trzy godziny przed zgonem był w barze Rivieri, gdzie w towarzystwie tajemniczego jegomościa mieli wypić po mniej więcej litrze czterdziestopięcioprocentowej wódki każdy.

Interesujące są okoliczności powstania omawianego programu telewizyjnego. Nade wszystko godzi się zauważyć, że miała miejsce całkiem nowatorska, nieznana w kryminologii praktyka śledcza, że koronni świadkowie, zamiast przed prokuratorem, najpierw składają z e z n a n i a przed kamerami telewizji publicznej. Z łatwością ustaliłem, że świadkowie in spe - z drogi, w trakcie podróży na pierwsze przesłuchanie do elbląskiej prokuratury - zostali zawróceni przez funkcjonariuszy milicji, którzy polecili im wystąpić w programie Gołębiowskiego.

Kto reżyserował ten naprędce zmontowany spektakl? Czyżby dla prokuratury dobro śledztwa nagle przestało być mniej ważne od publicznego występu świadków w telewizji?

Krystyna Karos, wdowa po starszym sierżancie milicji Zdzisławie Karosie, nieco później powiedziała:

- Wiadomość o śmierci księdza Zycha wstrząsnęła mną. Zastanawiałam się, co to się dzieje, że znowu ktoś nie żyje... Mnie to bolało... Śmierć mojego męża była dla mnie strasznym ciosem. Zastanawiałam się: dlaczego?... Mimo to uczucie zemsty na sprawcach śmierci mojego męża było mi obce.

Iwona Sylwia Karos, bratanica, a zarazem chrześnica Zdzisława Karosa, w liście otwartym z 22 lipca 1989 roku do Prymasa Józefa Glempa, dzieliła się między innymi takimi refleksjami:

Prześladowcy nie poprzestają na odebraniu życia kapłanom, którzy są dla nich niewygodni, starają się także odebrać im dobre imię. Tak dzieje się i teraz, gdy środki masowego przekazu szkalują postać śp. księdza Sylwestra Zycha.

Już za życia ksiądz Sylwester Zych był za swoje oddanie sprawie „Solidarności” odzierany z czci i godności kapłańskiej, gdy usiłowano przedstawić go jako mordercę (...) Nigdy nie uważałam i nie uważam księdza Sylwestra Zycha za współodpowiedzialnego za śmierć mojego stryja i ojca chrzestnego. Z pewnością nie jestem w tym przekonaniu odosobniona.

Oficjalne stanowisko w sprawie niewyjaśnionych zgonów trzech kapłanów zajęła Senacka Komisja Praw Człowieka i Praworządności pod przewodnictwem Zbigniewa Romaszewskiego i Alicji Grześkowiak. Senatorowie zwracali uwagę na potwierdzające się

doniesienia o stosowaniu bezprawnych, a nawet przestępczych działań przeciwko duchownym katolickim przez funkcjonariuszy IV Departamentu MSW.

Prokuratura okazała się w pierwszej fazie śledztwa bardzo przywiązana do zeznań personelu Rivieri. Lektura akt skłania do wniosku, że szukano potwierdzenia dla hipotezy o nadużyciu alkoholu przez księdza przed śmiercią. Natomiast jakby nieco mniejszą estymą prokuratorów cieszyli się świadkowie zaprzeczający tej hipotezie. Z co najmniej pół setki nocnych gości dyskoteki Riviera, nikt nie potwierdził obecności w lokalu księdza, ani jego rzekomego kompana.

Organizm zmarłego zawierał prawie 4 promille alkoholu. Jeśli przyjąć wersję personelu, że ksiądz był w barze, to z podziwem trzeba odnieść się do faktu, że po takiej dawce nie spadł z barowego stołka. Obydwu gościom rekordowa popijawa nie przeszkodziła w bezszelestnym opuszczeniu lokalu, a w każdym razie uczynili to w sposób tak dyskretny, że całkowicie niezauważalny nie tylko dla rozbawionej młodzieży dyskoteki, lecz również dla personelu, sprawiającego wrażenie spostrzegawczego.

Podziwiać trzeba, że człowiek, który w ciągu niecałych trzech godzin miał zaaplikować sobie litr mocnego alkoholu natychmiast po biesiadzie zdołał całkowicie się przebrać. Otwarte pozostaje pytanie, skąd miał i gdzie przechowywał strój na zmianę? Wreszcie - w jakim celu przebierał się we flanelową koszulę, skoro tamtej nocy w Krynicy Morskiej temperatura powietrza wynosiła 28 stopni Celsjusza?

Podczas barowej libacji, mężczyźni mieli dopytywać personel lokalu o możliwość wypożyczenia jachtu. Powracali do tej kwestii wyjątkowo namolnie. Zbywani raz po raz przez barmana, powracali do tematu. Sprawiali wrażenie pewnej determinacji. Jakby chcieli pozostawić swoisty identyfikator w postaci pytania o jacht.

Ale i ta kwestia posiada znamiona irracjonalności. Bowiem ksiądz, odbywając statkiem rejsy z Fromborka, schodził na keję portu w Krynicy, gdzie jednocześnie jest przystań jachtowo - żeglarska i - za przeproszeniem - tylko ślepy może tego nie zauważyć.

Sylwester Zych nie umiał pływać. By wypożyczyć jacht trzeba posiadać niezbędne patenty, których otrzymanie warunkuje umiejętność pływania. Dochodzą jeszcze koszty wynajmu. Zych był człowiekiem ubogim. W tym kontekście wątek jachtowy jawi się jakimś niewytłumaczalnym absurdem.

Kilku prokuratorów usiłuje w ciągu prawie czterech lat śledztwa znaleźć wiarygodne odpowiedzi na szereg pytań oraz rozwikłać zagadkowe okoliczności śmierci księdza Zycha. Bezowocnie. W dalszym ciągu niewiele wiemy o rzeczywistym przebiegu wydarzeń poprzedzających zgon kapłana. Przybyły natomiast wątpliwości nowe.

Napisałem książkę *Tajemnica śmierci księdza Zycha*. Tuż po ukazaniu się pierwszego

wydania w 1994 roku, nieznani telefoniści sugerowali, że drażnienie tematu niewyjaśnionych zgonów księży może przysporzyć mi przykrości... Nieco później chęć spotkania ze mną wyraził Grzegorz K., w 1989 roku barman w krynickiej Riwierze. Zarazem główna postać omawianego wyżej pseudoreportażu telewizyjnego.

- Nie mogę dłużej żyć z wyrzutami sumienia - powiedział.

BAŁEM SIĘ, ŻE SKOŃCZĘ, JAK KSIĄDZ

Grzegorza K. poznałem w lipcu 1989 roku. W barze dyskoteki Riviera w Krynicy Morskiej. Barman zachowywał się swobodnie, żeby nie powiedzieć nonszalancko, z dużą pewnością siebie. Pokazałem mu fotograficzną odbitkę twarzy księdza Zycha. Czarno-białą, niezbyt dobrej jakości.

- Zna pan tę twarz?

- To jest gość, któremu podawałem drinki... Pytał o jacht... To jest ta sama osoba, którą widziałem na filmie video z sekcji zwłok księdza.

- Jest pan pewien?

- Nie ma żadnych wątpliwości - odparł sympatycznie uśmiechnięty barman.

Oświetlenie nad ladą barową było marne. Panu Grzegorzowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Bez wahania potwierdził tożsamość konsumenta, patrząc zresztą niezbyt uważnie na jego podobiznę. Można powiedzieć - zerknął tylko...

Sześć lat po śmierci księdza Zycha przyszło mi odbyć kilka spotkań z człowiekiem, który publicznie, przed kamerami telewizyjnymi informował Polaków, że kapłan krótko przed swoją śmiercią raczył się alkoholem w rekordowych ilościach. Czego mógł ode mnie chcieć? Pośrednikiem i świadkiem pierwszej rozmowy jest redaktor Stanisław Brzozowski z *Gazety Olsztyńskiej*.

Życiorys pana Grzegorza nie należy do pospolitych. Jedenaście lat był zawodowym wojskowym. Po szkole chorążych łączności, zaprzysiężony do pracy w kontrwywiadzie. W pionie tajnym. W charakterze szyfranta.

- Funkcjonariusze tajnych służb podchodzili do mnie już w trakcie odbywania zasadniczej służby wojskowej w Legnicy. Kontrwywiad złożył mi konkretną propozycję. Odbyłem kilka rozmów z oficerem werbownikiem...

W życiorysie mojego interlokutora nie wszystkie karty są jasne, a tym bardziej przeźrocyste. Miał proces karny. Z przekonaniem twierdzi, że został oskarżony niesłusznie, skutkiem niesprawiedliwego pomówienia przez kobietę, której przedtem odpowiednio nie usatysfakcjonował. U sędziów nie znalazł jednak zrozumienia i kilka lat spędził w

więziennym odosobnieniu. Zaproponowano mu posadę bibliotekarza. Przyjął. Nie ukrywa, że współpraca ze służbą więzienną przynosiła pewne gratyfikacje: - Życie za murami miałem przez to może trochę lżejsze, niż inni. Ale sądowy hak w życiorysie spowodował, że na wolności drogę do kontynuowania kariery zawodowej miałem już zamkniętą. Ci z tajnych służb jednak nie odpuścili. Interesowali się mną dalej.

W Kołobrzegu przytrafił mi się dziwny przypadek. Rano wyszedłem z domu do pracy. Pamiętam drogę do przystanku autobusowego, a potem już nic. Normalnie film mi się urwał. Nie piłem alkoholu, a skacowany obudziłem się w areszcie. Milicjanci poinformowali mnie, że ponoć ostro narozrabiałem. Miałem podobno pobić kierowcę autobusu, zdemolować pojazd... Pojawił się funkcjonariusz w cywilu. Zaproponował, że mogą załatwić puszczenie mi tego incydentu w niepamięć, jeśli zgodzę się na współpracę. Byłem zdruzgotany zdarzeniem, ale nie przyjąłem propozycji.

Imał się różnych zajęć. Od 1987 roku pracował jako barman w Krynicy Morskiej.

- Znajomy, który pracował w WOP przestrzegł mnie, że milicja ma na mnie oko. Pomyślałem, że oni, tajniacy pewnie znowu się odezwą. Nie czekałem długo... Albo incydent z wczesnego okresu śledztwa w sprawie śmierci księdza Zycha. Pewnego dnia zawieziono nas do budynku elbląskiej komendy wojewódzkiej z poleceniem uczestniczenia w projekcji video filmu z sekcji zwłok księdza. Poza nami, z Rivieri, kręciło się tam kilku cywilów, chyba z pięciu. Jeden z nich miał być jakąś szychą z Warszawy, ale nikt go nam dokładnie nie przedstawił, więc dokładnie nie wiem kto to był. Funkcjonariusz w cywilu, którego nigdy przedtem nie widziałem dawał mi do zrozumienia, żebym w zeznaniach trzymał się swego, dla swojego dobra, czy coś w tym rodzaju.

- Wiecie, że my o was dużo wiemy - powiedział.

Grzegorz K. uwagę tę potraktował jako przestrozę i pogroźkę jednocześnie. Nie ukrywa, że się bał.

- Niedługo po śmierci księdza Zycha spotkałem się w Krynicy z siostrą i matką zmarłego. Było to dla mnie duże przeżycie. Jedna z pań powiedziała:

- Niech pan się dobrze zastanowi nad rzuceniem tak strasznych podejrzeń...

- To był chyba decydujący moment. Gryzło mnie, zacząłem się wahać, czy na pewno mam rację. Może inaczej. Wątpliwości, co do obecności księdza w Rivierze, to ja miałem właściwie od samego początku. Przyznaję jednak, że wtedy wątpliwości bałem zgłosić ze względu na bezpieczeństwo. Żyłem w strachu. Powiem otwarcie: obawiałem się, że mogę skończyć tak, jak skończył ksiądz Zych. Ja po prostu nie wierzyłem, że mogę mówić całą prawdę, bo miałem odczucie, że to wszystko jest sterowane.

- Co to znaczy: wszystko?

- Tak śmierć księdza, jak film telewizyjny o tym zdarzeniu i cały początek śledztwa. Mundurowi i tajniacy cały czas kręcili się w Rivierze. Czuli się, jak u siebie. Nagabywali. Odpytywali. W naszym barze - za pozwoleniem właściciela lokalu - nie musieli płacić. To wszystko mnie powstrzymywało, chociaż spać spokojnie nie mogłem.

Edmund Krasowski, ówczesny poseł Ziemi Elbląskiej, przypomina wizytę Grzegorza K. w swoim biurze:

- Był roztrzęsiony. Z jednej strony mówił, że się boi o swoje życie, a z drugiej chciał z siebie wyrzucić prawdę, której nie miał nikomu powiedzieć, bo podczas przesłuchań nie dawano mu na to szansy. Uspokajałem go. Dodawałem otuchy. Jednocześnie jednak prosiłem, żeby uważał. Przyznaję, że wówczas nie podjąłem ryzyka upublicznienia wątpliwości dotyczących śmierci księdza Zycha, z jakimi przyszedł do mnie Grzegorz K., ze względu na jego bezpieczeństwo właśnie.

Grzegorz K. wyprowadził się z nadmorskiego kurortu. Dość miał plotek, sugestywnych spojrzeń przypadkowych ludzi.

- Niektórzy do Rivierzy przychodzili specjalnie po to, żeby zobaczyć znanego z telewizji barmana, który zamordował księdza Zycha - mówi po latach. - Jakiś czas po śmierci księdza miałem specjalną ochronę. Podwójną. Z jednej strony łazili za mną ci z bezpieki, z drugiej - wysłannicy pełnomocnika rodziny zmarłego księdza, mecenasa Taylora. Ani nie było to przyjemne, ani skuteczne. Co bowiem powiedzieć na to, że kilka miesięcy po zgonie księdza ktoś chciał mnie zabić. Żeby nie żona - już bym nie żył.

- Kto chciał pana zabić? Gdzie?

- Wrócimy do tego później.

- Dobrze, podaje pan tyle zaskakujących informacji. Czy dziś pan już niczego się nie obawia? Strach pana opuścił?

- Nie, to nie całkiem tak. wystarczy skrzypnięcie drzwi, żebym podskoczył, jakby ktoś ukłuł mnie igłą. Wie pan - strach przed bezpieczeństwem trudno zwalczyć. Powiedziałem jednak sobie: co ma się stać, niech się stanie. Przełom nastąpił po lekturze książki Tajemnica śmierci księdza Zycha. Bardzo poruszyły, zszokowały mnie słowa matki księdza, które pan przytacza... Jestem człowiekiem wierzącym. Praktykującym. Nie chcę i nie mogę dłużej żyć z wyrzutami sumienia.

Gdy zbliża się rocznica śmierci księdza, przytrafia mi się coś niezwykłego.

- Panie Grzegorz, jak długo chce pan żyć ze świadomością wyrządzonej krzywdy? - zagadnął mnie całkiem niespodziewanie przed wejściem do autobusu, nieznanymi, starszymi wiekiem kapłan. - Zamurowało mnie. Całkowicie. W tym momencie nadszedł autobus.

Wsiadłem. Odjechałem. Ksiądz pozostał na przystanku. Zdaje się, że kiwnął mi ręką na pożegnanie, ale nie jestem pewien... Jestem ciekaw kim był, ale być może już nigdy go nie spotkam. Teraz wiem, że muszę uporać się z prawdą o moim udziale, że tak powiem - w sprawie śmierci księdza Zycha. Podjąłem decyzję, żeby z tego wszystkiego szczerze się wyświadczyć.

SPOWIEDŹ KORONNEGO ŚWIADKA

Strach nie odstępował. Żyłem w obawie o życie moich bliskich i swoje. Zamartwiałem się, że z sobą samym nie jestem w porządku. Esbecy nie pozwalali o nich zapomnieć.

- Dużo o tobie wiemy - dawali do zrozumienia. - Nie podskoczysz. Rób co masz robić i uważaj, żebyś nie zapomniał jakim jesteś małym pionkiem i kto jest od ciebie ważniejszy...

- Czy ja mogłem się bać? - pyta retorycznie Grzegorz K.

- Obawiałem się również przesłuchującego mnie prokuratora. Stresował mnie. Agresywny. Chamowaty. Beształ człowieka o byle co. Straszyl. Przerzywał. Nie pozwalał mówić tego, co chciałem. W trakcie przesłuchania krzyczał:

- No, teraz nóżki na stół. Dziś porozmawiamy inaczej.

Ja mówiłem jedno, prokurator zapisywał drugie. W każdym razie nie tak, jak ja mówiłem, nie moje słowa, sformułowania. Mogę powiedzieć, że czułem się pod jego presją. Całkiem inaczej zachowywał się na przykład prokurator R., z tej samej elbląskiej prokuratury. Kulturalny. Spokojny. Dał człowiekowi się wypowiedzieć.

- Ale czytał pan protokoły przesłuchań przed podpisaniem?

- Gdzie tam! Nigdy nie czytałem protokołów przesłuchania, bo prokurator zawsze się spieszył i mówił:

- No to podpisuj. Tu, jeszcze tu, no i tu...

- Mogę powiedzieć, że on zapisywał to, co chciał zapisywać, a nie to, co ja mówiłem.

Często podczas zeznania powtarzał: - O tym nie mów. To nieważne. O tym zapomnij.

Po napisaniu przez redaktora Jachowicza w *Gazecie Wyborczej*, że jestem niewiarygodnym świadkiem, prokurator sugerował mi oddanie sprawy do sądu. O zniesławienie. Odmówiłem. Ze względu na koszty. Na to on, że jeśli się zgodzę, to sprawa przeciwko redaktorowi zostanie wszczęta z urzędu. Zastanowiłem się i jednak nie wyraziłem zgody

W prokuraturze przesłuchanie trwało od czternastej do dwudziestej drugiej. Były tylko dwie przerwy. Jak leciał ten reportaż Gołębiowskiego po dzienniku, to prokurator M. przerwał przesłuchanie. Razem zeszedliśmy do portierni, siedliśmy przed telewizorem i wspólnie

oglądaliśmy film. Po zakończeniu przesłuchania, kierowca prokuratury - czarną Wołgą odwoził nas do Krynicy.

- Pamiętajcie, jak raz coś powiedzieliście, to do końca musicie się tego trzymać - przestrzegał prokurator M. - Inaczej - może być źle.

- Jeszcze jedno. W czasie przesłuchania kilkakrotnie do pokoju wchodziła jakaś kobieta. Przystojna. Około trzydziestoletnia. Elegancko ubrana. Z czarnymi, w kok spiętymi włosami. Zawsze wchodziła bez pukania. Po sposobie rozmowy prokuratora z tą kobietą mogłem przypuszczać, że jest to jego żona. Byli spoufaleni. Mówili sobie po imieniu. Ona moją obecnością w pokoju wcale się nie krępowała. Prokurator też.

- Wiesz - mówił do niej. - On powiedział, że...

On, czyli ja. Opowiadał jej, co zeznawałem. Kobieta udzielała mu ściszym głosem jakichś porad, wskazówek. Ja wówczas nie zdawałem sobie sprawy z roli i stanowiska tej kobiety, ani dziś nie wiem, kto to był, bo nie została mi przedstawiona. Faktycznie jednak mówiła prokuratorowi, w jaki sposób dalej ma mnie przesłuchiwać. Raz kobieta ta przyniosła prokuratorowi kawę. Mnie nikt nie podał nawet herbaty, ani kropli wody, chociaż prosiłem.

Tak więc w czasie przesłuchań u prokuratora M., to były duże niedomówienia. Wciąż do kogoś telefonował. Konsultował się. Nie mam pojęcia z kim.

Była jesień 1989 roku. Minęło ponad sto dni od zagadkowych okoliczności śmierci księdza Sylwestra Zycha. W elbląskiej prokuraturze stawili się taksówkarze - Adam W. i Wojciech W. Obaj mężczyźni przesłuchani zostali w obecności znanego w Elblągu autorytetu - księdza prałata Mieczysława Józefczyka, posła Ziemi Elbląskiej Edmunda Krasowskiego (podówczas także członka Nadzwyczajnej Komisji Sejmowej do Zbadania Działalności MSW) oraz mecenasa Jacka Taylora, pełnomocnika rodziny zmarłego kapłana. Obaj świadkowie zgonie zeznali, że Sylwestra Zycha widzieli w budynku posterunku MO w Krynicy Morskiej w przeddzień jego domniemanej daty zgonu.

Procesowe potwierdzenie tej informacji mogło spowodować sensacyjny, radykalny zwrot w śledztwie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Upublicznienie zeznań taksówkarzy przez prasę spowodowało natomiast niespodziewaną i pryncypialną ripostę MSW, którego ówczesny rzecznik prasowy, podpułkownik Wojciech Garstka, wystąpił w głównym wydaniu DTV twierdząc, że w zeznaniach świadków nastąpiła... pomyłka. Rzecznik Garstka przed kamerami telewizyjnymi bronił czci i honoru pracowników milicji i służby bezpieczeństwa, sugerując, iż mają miejsce próby prowokowania nieufności i nienawiści do funkcjonariuszy MO i SB, którzy - jak wiadomo - byli samą emanacją zalet i cnót wszelakich... Wzywał środowiska dziennikarskie i prawnicze oraz inne społeczne autorytety do potępienia i dania

odporu z gruntu niesłusznym pomówieniom osłabiającym i paralizującym resort spraw wewnętrznych...

Mecenas Jacek Taylor replikował publicznie, twierdząc, że świadkom nie można zarzucać mówienia nieprawdy, skoro nie odwołali oni swoich zeznań, a nie ma żadnych dowodów, że się mylą: - Negatywna ocena tych świadków już teraz jest nie tylko przedwczesna, ale i bezpodstawna.

Godzi się zauważyć, że ocena zeznań świadków śledztwa powinna należeć jednak w pierwszym rzędzie do prokuratorów, sędziów, stron ewentualnego procesu, a w żadnym razie nie do rzecznika prasowego resortu tajnych służb. No ale rzecznik Garstka mógł przecież być innego zdania, wszak był funkcjonariuszem wychowanym nie w żadnym państwie prawa, a w PRL...

Skutkiem ataku ppłk. Garstki była niezwykajna o b r ó b k a śledcza, jakiej poddano obydwu świadków. Byli poddawani presji poza gmachem prokuratury. Spotykali się z groźbami i szykanami ze strony funkcjonariuszy MO. Prokuratura w końcu powołała biegłych lekarzy. Badanie wykazało, że jeden ze świadków nie jest całkiem zdrow. W efekcie - obaj wycofali pierwotne zeznania.

Resort tajnych służb nie pozostawał bezczynny. Prokuratura niebawem otrzymała dokumentację zebraną w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Elblągu, mającą zaświadczyć, że w dniu zgonu księdza Zycha w Krynicy Morskiej pełnił obowiązki służbowe tylko jeden etatowy funkcjonariusz MO, podczas gdy pozostali przebywali w Gdańsku, gdzie uczestniczyli w zabezpieczeniu wizyty prezydenta G. Buscha, goszczącego akurat w Polsce.

Milicjanci przed prokuratorem zgodnie zeznali, iż 10 lipca 1989 roku - wieczorem - udali się do Gdańska środkami transportu będącymi na stanie posterunku MO w Krynicy Morskiej. Miało to zaświadczać z kolei o tym, że nie mogli dowozić na posterunek nie tylko księdza Zycha, ani kogokolwiek innego, jak to wynikało z zeznań obydwu taksówkarzy.

- Czy rzeczywiście w czasie, o którym mówimy w Krynicy Morskiej nie przebywali zatrudnieni tam milicjanci bądź funkcjonariusze służby bezpieczeństwa?

- Wieczorem, 10 lipca 1989 roku i następnego dnia rano widziałem w Krynicy Morskiej z całą pewnością przynajmniej kilku policjantów - zaklina się Grzegorz K. - Dwóch jeździło służbową Nyską. Spotkałem porucznika, którego nazwiska nie pamiętam, ale na imię miał chyba Piotr; byliśmy na ty. 11 lipca, około czwartej nad ranem, kiedy zamknąłem Rivierę, spotkałem Piotra idącego pospiesznie. Zagadnąłem: - Gdzie się tak spieszysz? Odparł, że znaleziono zabitego człowieka, trupa i ma robotę. Na miejscu był też jeden sierżant. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat.

- Mówi pan o tych faktach z dużym przekonaniem. Dlaczego nie powiedział pan o tym wszystkim podczas przesłuchania w prokuraturze?

- W prokuraturze o tych milicjantach nie mówiłem, bo nikt mnie nie pytał. Prokurator M. tak był rygorystyczny, że nie pozwalał mówić nic ponadto, o co sam nie zapytał.

- A może to byli milicjanci ale nie zatrudnieni w Krynicy?

- Skąd! Przecież ja ich wszystkich dobrze znałem. Nie tylko z widzenia, więc nie mogę się mylić. Na służbie i poza służbą często przychodzili do mnie, do baru. Niektórzy mieli nawet swoje stałe miejsca na stołkach barowych. Siadali zazwyczaj przy drzwiach wejściowych.

- Po co? W jakim celu funkcjonariusze milicji zasiadali w barze, gdzie był pan barmanem?

- Jak to po co? Wiadomo! Oni nie musieli nawet nic mówić. Od razu podawałem im drinki. to się działo za przyzwoleniem właściciela Riviery, zaznaczam.

- A w jakich godzinach przychodzili najczęściej?

- Całkiem różnych, ale przeważnie między godzinami dwudziestą wieczorem i trzecią rano.

- A porucznik, o którym pan wspominał, był w ubraniu cywilnym czy w służbowym mundurze?

- On zawsze występował w ubraniu cywilnym. W mundurze nie widziałem go ani razu. Wiem, że on w Krynicy pracował tylko sezonowo. Po wakacjach wyjechał.

- A czy pamięta pan stopień służbowy innych milicjantów?

- Jeden z nich miał stopień kaprała. Wysoki mężczyzna. On akurat wtedy - wieczorem - zaproponował mi kupno pojemnika z gazem, żebym miał w razie czego, do obrony. Ale do transakcji nie doszło.

- Pan wielu osobom może wydawać się człowiekiem co najmniej nieodpowiedzialnym. Kilka lat temu ewidentnie obciążył pan zmarłego kapłana, podczas gdy teraz weryfikuje pan swoje ówczesne odczucia i całkowicie zmienia wersję wydarzeń ustalonych w czasie postępowania prokuratorskiego.

- Człowiek może się przecież mylić. Dziś mam potrzebę przeproszenia tych wszystkich, których moje pospieszne i zbyt pewne siebie stwierdzenia dotknęły. Mam tu na myśli przede wszystkim rodzinę księdza Zycha. Nie chcę się usprawiedliwiać. Musze jednak przyznać, że dałem się zrobić - jak to się mówi - w balona. Uważam, że pośmiertne zdjęcie księdza podsunęto mi celowo, a ja nie czułem podstępu. Myślę, że ksiądz Zych w dniu swojej śmierci dobrowolnie nie przybył do Krynicy. Mnie w barze mogli podstawić osoby przebrane, ucharakteryzowane na podobieństwo księdza, a jego ciało po prostu podrzucono do Krynicy.

Jeśli Grzegorz K. się nie myli, znaczy to tyle, że kilku milicjantów przesłuchiwanym przez prokuraturę nie mówiło prawdy. W świetle tego, co obecnie mówi pan Grzegorz K. - inaczej jawią się dawniejsze zeznania świadków Adama W. i Wojciecha W.

Prokuratorzy na sukces nie musieli długo czekać. Już 21 lipca 1989 roku zatrzymano Antoniego K., lat czterdzieści trzy. Z zawodu elektryk, zatrudniony w jednym z gdańskich przedsiębiorstw. Jego fizjonomia pasowała do opisu przedstawionego przez personel baru.

Antoni K. wyjaśnił prokuratorowi, że dobrze zna Krynicę Morską, ponieważ kilka miesięcy tam pracował. Ponadto - co ważniejsze - znał także księdza Zycha. Miał go poznać niecały rok wcześniej w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie, gdzie regularnie jeździł na nabożeństwa w rocznicę śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Prokurator przedstawił Antoniemu K. pośmiertną fotografię twarzy księdza Zycha.

- Nie. Na przedstawionej fotografii nie rozpoznaje księdza Sylwestra - zaprzeczył aresztowany. - Nie byłem z nim, ani z nikim innym w barze Riviera nocą z 10 na 11 lipca 1989 roku.

Barman K. podczas konfrontacji przeprowadzonej w prokuraturze stwierdził, że Antoni K. jest n i e w ą t p l i w i e poszukiwanym mężczyzną pijącym z Zychem nieco przed śmiercią tego ostatniego.

Joanna U., kelnerka w rzeczonym lokalu, uznała Antoniego K. za p o d o b n e g o do poszukiwanego mężczyzny z białymi włosami, lecz kolor jego włosów uznała jako nazbyt biały, więc stwierdziła, że w y k l u c z o n e, żeby to był on.

Dariusz O., inny kelner z Rivieri, także zaprzeczył, żeby widział Antoniego K. w barze.

Uwolnienie aresztowanego spowodowały dwie okoliczności. Wynik konfrontacji oraz jego dobre alibi. Prokuratura niechętnie dzieliła się tym niewątpliwym niepowodzeniem na starcie śledztwa. Barman Grzegorz K. przypomina okoliczności rysowania portretu pamięciowego „Szpakowatego”:

- Razem z Dariuszem O. siedzieliśmy w pokoju przesłuchań z rysownikiem milicyjnym. Ja opisywałem, jak zapamiętałem wygląd tego mężczyzny, a rysownik nanosił kreski. Dariusz O. dopowiadał szczegóły. Uważam, że portret pamięciowy, jaki powstał, był udany, bo odzwierciedlał wygląd tego mężczyzny z baru. Ten „Szpakowaty” śni mi się po nocach. Gdybym go zobaczył naprawdę, to rozpoznam go w każdej chwili.

Czy zdolność zapamiętywania u Grzegorza K. jest aby na pewno tak dobra, jak jego o tym przekonanie? Przebieg zdarzeń dotyczących śledztwa w sprawie śmierci księdza Zycha sugeruje co najmniej ostrożność w ferowaniu pozytywnej oceny.

Pan Leonard Krasulski, z ówczesnego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w

Elblągu, w 1989 roku pokazywał mi opublikowany w gazecie komunikat prokuratury z pośmiertną podobizną księdza oraz szkicem pamięciowym „Szpakowatego”. Pan Leonard stwierdził wówczas w sposób stanowczy:

- Na tej fotografii ksiądz Zych na pewno nie jest do siebie podobny. Ja w każdym razie miałbym wielkie trudności z rozpoznaniem... Jeżeli portret pamięciowy poszukiwanego mężczyzny, który rzekomo był z Zychem w dyskotecie jest podobnie zniekształcony, to obawiam się, że mogą być kłopoty z jego odnalezieniem.

- Nie jest wykluczone, że nam w barze podstawiono przebierańców, ludzi ucharakteryzowanych, w tym jednego na podobieństwo księdza. Bo dlaczego tego „Szpakowatego” nie odnaleziono?... Gdy idzie o rozpoznanie ze zdjęcia, to pokazywano je tylko mnie. Ani Joanna, ani Darek zdjęciu się nie przypatrywali. Oni powtórzyli tylko, co ja powiedziałem, bo byłem z nich najstarszy i miałem największy autorytet... Co do ilości alkoholu rzekomo wypitego przez tych gości w barze, to też wielka przesada. Oni nie mogli tyle wypić. Ja - wie pan - przeprowadziłem pewien eksperyment.

TEN, CO ZABIŁ KSIĘDZA

To jest chyba ten s...n, który zamordował sierżanta Korosa. Bandyta, „Alfons”, włóczęga i pijak nałogowy, jak żył tak ZDECHŁ. To samo czeka ciebie półgłówku śmierdzący...

Redaktor naczelny prywatnego pisma *DLA CIEBIE i dla Twoich Przyjaciół*, po kilku publikacjach przypominających okoliczności śmierci księdza Sylwestra Zycha (z jego zdjęciem), otrzymał anonim, którego fragment zacytowałem. To nie pierwsza anonimowa korespondencja dotycząca śmierci kapłana. Departament Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości w 1990 roku był adresatem wysłanego z Torunia listu następującej treści:

Uznałem, że już czas ujawnić się jako mężczyzna szpakowaty, poszukiwany na okoliczność śmierci księdza Zycha. Grzecznie informuję, że szkoda Waszych kosztów i zabiegów w ujawnianiu rzekomo zagadkowej śmierci. Mimo mego ujawnienia nie znajdziecie mordercy, ponieważ to nie była śmierć fizyczna, a tylko psychiczna, jako wynik działania na sumienie, na psychikę mordercy pośredniego sierżanta Karosa.

Człowiek ten, że wszech miar sprawiedliwy, uczynny, sumienny, dobry mąż i kochający ojciec, mimo noszonego munduru nie zasługiwał na taką śmierć. Jemu, człowiekowi mi znanemu zawdzięczam uratowanie życia z rąk bandycko - złodziejskiej szajki.

Na jego pogrzebie poprzysiągłem Bogu, że śmierć jego pomszczę tym bardziej, że nie

była potępiona ani przez „Solidarność”, ani przez Episkopat. Część przysięgi zrealizowałem.

a) Księżdz Zycha zamordowało sumienie, które przez długie miesiące niepokoiłem - równa to się śmierci kolegi sierżanta.

b) Zginie jeden z przywódców „Solidarności”, za których przyczyną doszło do nienawiści, bratobójczych porachunków, za cierpienia żony, matki nieletnich dzieci.

c) Zginie jeszcze jeden z wyższych duchownych, którzy zamiast potępienia zbrodni, politowania dla nieletnich dzieci, za niewinną śmierć ojca, nie udzielanie im jakiegokolwiek pomocy materialnej, duchowej.

Mimo noszonego munduru sierżant był człowiekiem wierzącym, natomiast katolicki Kościół Polski nie odprawił ani jednej mszy, nie odmówił ani jednej zdrowaśki za duszę sierżanta Inaczej było po śmierci księdza Popiełuszki.

Zrealizowanie punktu b i c będzie trudniejsze, nawet mogę ucierpieć sam, ale przysięgi złożonej wobec Boga nie mogę złamać... Szpakowaty.

Prokuratura do prasy podała komunikat zachęcający osoby mające informacje dotyczące autora pisma o zgłaszanie się w Departamencie Prokuratury. Odzewu żadnego jednak nie było. Ustalono, że sierżant Karos nie uratował życia „Szpakowatemu”, ani nikomu innemu.

Grzegorz K. wyjaśnia różne tajemnice swojego poprzedniego zajęcia:

- Żaden z dwóch mężczyzn siedzących przy barze z p e w n o ś c i ą nie wypił dziewięciu czy dziesięciu fikołków. Młodzież pofantazjowała trochę z ilością. Gruba przesada. „Młodzież” to kelnerka Joanna U. i kelner Dariusz O. ...

- W barze podpitym klientom nigdy nie nalewało się pełnych porcji. Myślę, że osobiście podałem im jakieś trzy, cztery fikołki, ewentualnie Darek jeszcze po jednym. Joaska w ogóle nie miała prawa robić fikołków i ich naprawdę nie przyrządzała.

Te ilości alkoholu rzekomo podane obydwu klientom dziwnie rozmnożyły się podczas śledztwa. Jeśliby ktoś wypił tyle alkoholu, to moim zdaniem nie jest realne, żeby przeszedł jeszcze taką drogę, jaką rzekomo miał przejść ksiądz Zych. Kiedy znaleziono go na dworcu autobusowym, to ubranie miał czyste. A przecież musiał pokonać, sforsować zejście z kilkunastometrowej skarpy, bo dworzec leży na nizinie. Jeśli miał w sobie cztery promille alkoholu to jak to zrobił?

Bar Riviera po telewizyjnym występie personelu zyskał złą sławę. Grzegorz K. nie był kontent z takiego obrotu sprawy.

- Faceci przychodzili, siadali przy barze i dla draki zamawiali dziesięć fikołków.

Nikt - oczywiście - tyłu nie wypił.

Ale kilka tygodni po naszym występie w telewizji postanowiłem przeprowadzić

eksperyment. Z kolegami umówiliśmy się wypróbować na sobie, czy zdołamy wypić dziesięć fikołków, czyli po sto gram wódki i dwieście (?). Piliśmy od jedenastej wieczorem do szóstej rano. Inni zawodnicy odpadali po pięciu, sześciu fikołkach. Ja jakoś się trzymałem. Na koniec zapilem jeszcze rumem i na własnych nogach poszedłem do domu. Czułem w sobie alkohol, ale nie przewracałem się. Tylko że ja piłem siedem godzin! Ale żeby wypić litr wódki w ciągu gdzieś dwóch i pół godziny i nie spaść z barowego stołka - nie, to nierealne!

- W końcu lata albo już jesienią 1989 roku w Rivierze pojawili się bliscy księdza Zycha - kontynuuje Grzegorz K. - Siostra zmarłego powiedziała wtedy do mnie:

- Niech pan się głęboko zastanowi, zanim pan tak strasznie kogoś osądzi.

- Czy jesteście aż tak pewni wszystkiego, co mówicie? - zapytała matka księdza. - Nie macie żadnych wątpliwości?

W pierwszej chwili słowa te raczej zbagatelizowałem. wkrótce jednak przyszło zastanowienie. A może to ja nie mam racji? Może się mylę? Z czasem nabrałem przekonania, że zostałem zrobiony w konia, jak to się mówi. Posłużyłem jako narzędzie do wielkiej manipulacji, której finałem było oszkalowanie, pomówienie człowieka. Były się we mnie rozmaite myśli. Sumienie nie dawało mi spokoju.

Dochodziły inne, nowe fakty. Po tym, jak dowiedziałem się, że krynicki proboszcz podczas kazania na mszy w Piaskach z ambony powiedział o niesłusznym, posądzeniu kapłana przez personel Rivierzy, wybrałem się do niego z wizytą. Ksiądz proboszcz do niczego mnie nie nakłaniał, ale rozmowa wzbudziła we mnie dalsze wątpliwości. Zamówiłem Mszę Świętą w intencji duszy zmarłego księdza Zycha...

Miałem przeświadczenie, że za mną chodzą. Kto? Z milicji, albo ze służby bezpieczeństwa. Wie pan - to są pewne spojrzenia ludzi całkiem nieznanym, pewne słowa, sposób zachowania... Jeśli człowiek na tym trochę się zna, to wyczuje, nie ma dwóch zdań. Sam prokurator M. zapewnił mnie zresztą, że nie mam się czego bać, bo mnie chronią. wtedy nie zapytałem konkretnie: kto? - ale się domyślałem. Mógł to być nawet sam „Szpakowaty” odcharakteryzowany, bez przebrania.

- Nieco miesiąc po śmierci księdza Zycha i moim występie w telewizji - z żoną i synem wyjechaliśmy na urlop do Zakopanego. W podzakopiańskiej wsi odwiedziliśmy rodzinę małżonki. W niedzielę poszliśmy do kościoła. Ksiądz zbierał kolektę. Kiedy podszedł do mnie, koszyk o mały włos z ręki mu nie wypadł... W czasie procesji miałem wrażenie, że ludzie pokazują na mnie palcami.

Później dowiedziałem się, że w tym samym czasie dwaj esbecy szukali ze mną kontaktu w miejscu zamieszkania, w Krynicy. Od sąsiadów oraz personelu w Rivierze próbowali brać namiary na miejsce naszego pobytu w Zakopanem. wkrótce potem - jeszcze w

czasie urlopu - jakiś samochód usiłował mnie rozjechać i gdyby żona mnie nie odepchnęła - byłoby po mnie.

Nie wierzę, żeby te wszystkie zdarzenia były przypadkowe. Czuję, że moje życie jest zagrożone i dlatego bałem się ujawnić swoje wątpliwości dotyczące faktycznych okoliczności zgonu księdza Zycha. Mówią: strach nie grzech. W dodatku rozpuszczano jeszcze plotki, że bezpieka kupiła mi samochód. Ale ja auta nie miałem i dotąd nie mam żadnego... Co jakiś czas do baru w Rivierze ktoś przychodził i wskazując na mnie, mówił:

- O, to ten, co zabił księdza.

- Wywiad przeprowadzony z nami w telewizji - to czysta parodia. Z drogi do Elbląga - na przesłuchanie w prokuraturze - zawróciła nas milicja. Samochód, którym jechaliśmy zatrzymano na szosie i oficer milicji - stopnia nie pamiętam - zapewnił nas, że mamy wracać na kręcenie filmu, bo jest zgoda prokuratora. Z pana książki dopiero dowiedziałem się, że prokurator M. żadnej takiej zgody nikomu nie udzielił. Dlaczego i kto więc i w takiej sytuacji posłużył się kłamstwem?

Kiedy podjechaliśmy ponownie pod budynek Rivierzy - czekał tam już tłumek ludzi. Kto ich tam zwołał? Kto zawiadomił?... Sam redaktor Gołębiowski - który był szefem ekipy telewizyjnej - w sposób wyraźny, bez żadnego skrupowania narzucał nam pytania i sugerował odpowiedzi. Jak coś nie wychodziło - uczył, jak mamy odpowiadać.

Później dopiero zastanowiło mnie, skąd on znał przebieg zdarzeń z nocy z 10 na 11 lipca 1989 roku, skoro myśmy - jako personel - jeszcze nie zeznawali w prokuraturze, ani nie udzielali żadnemu dziennikarzowi wywiadu? Kto sterował redaktorem Gołębiowskim? Kto mu o nas powiedział?

To są pytania, na które do dziś nie umiem sobie odpowiedzieć, chociaż domyśleć się łatwo, że ster dla tego żagla musiał być w Warszawie.

MORDERSTWA WYKLUCZYĆ NIE MOŻNA

Na ścianach pokoju gościnnego - portrety i zdjęcia po zmarłym. W szafie - komża, biret, stuła... Przechowywane starannie. Pokazywane z dumą...

Wieś Lipinki; okolica Wołomina. Siedlisko najbliższej rodziny księdza Sylwestra Zycha. Ubogie zabudowania. Pod jednym dachem mieszkają w ośmioro.

- W domu rządzi mama - podkreślają zgodnie.

Mama, to Irena Zych. Mieszka razem z córką Alicją Zych-Krasieńko, która brała ślub w dniu, kiedy brat Sylwester otrzymał święcenia kapłańskie od Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Ksiądz Sylwester, po zwolnieniu z więzienia, od 10 października 1986 roku pełnił funkcję kapelana Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi w Warszawie-Białołęce Dworskiej, przy ulicy Ołówkowej 22. Mimo rozlicznych zajęć związanych z działalnością konspiracyjną, zawsze potrafił znaleźć czas dla chłopców z domu dziecka, prowadzonego przez siostry.

- On kochał dzieci. W Białołęce przebywałem wielokrotnie; Sylwka przeważnie otaczała grupka dzieciarni. Nigdy nie miał za wiele pieniędzy, ale ostatecznie, jakie posiadał, potrafił przeznaczyć na cukierki dla dzieci. Wiedział jak bardzo ważna dla tych chłopców jest każda chwila radości. Powtarzał, że chce być dla nich ojcem - wspomina Roland Staszak, przyjaciel księdza.

Przed umorzeniem śledztwa rozmawiałem z Aleksandrem Herzogiem, pierwszym zastępcą ministra sprawiedliwości w rządzie Mazowieckiego, doradcą ministra sprawiedliwości w rządzie Suchockiej. W ramach nadzoru prokuratorskiego zajmował się śledztwami mającymi wyjaśnić tajemnicze zgony księży, uważanych za wrogów upadającego ancien regime.

- Nie każde wszczęte postępowanie prokuratorskie kończy się ujawnieniem sprawcy. Nie każde ujawnione przestępstwo kończy się sądowym wyrokiem skazującym. - W niektórych sprawach prokurator ma nawet przekonanie, że wie, jak było „na prawdę”, ale nie jest w stanie tego udowodnić.

- Wznowione po latach śledztwo w sprawie zabójstwa księdza Jerzego sprawiło, że na ławie oskarżonych zasiedli generałowie MSW, którzy dobrze wyreżyserowanym cudem, uniknęli procesu w roku 1984.

- Prokuratura spodziewa się, że proces sądowy pokaże szereg mechanizmów przestępczego działania w resorcie Spraw Wewnętrznych. Zwłaszcza, że „wpadka” Piotrowskiego i jego podwładnych, a także jego przełożonego - Pietruszki - nie była jakimś nadzwyczajnym incydentem, jak to usiłowano przedstawić opinii publicznej, lecz fragmentem większej całości, wynikającej z świadomie prowadzonej polityki przynajmniej w niektórych komórkach MSW.

- Czy w sprawach zgonów księży: Niedzielaka, Suchowolca i Zycha można mówić o zbiegu okoliczności?

- Jeśli w ciągu krótkiego odcinka czasu - w niewyjaśnionych okolicznościach - następuje śmierć kilku księży będących w kręgu zainteresowań służby bezpieczeństwa, to nie sposób dopatrywać się w tym jedynie przypadkowego zbiegu okoliczności.

- Po kilku latach śledztwa w sprawie śmierci księdza Zycha udało się wreszcie ustalić

kto - imiennie - z Wydziału IV SUSW zajmował się księżmi z dzielnicy Praga-Północ.

- Tak. Nie ma jednak pozytywnej, dowodowej informacji, że ksiądz Zych był inwigilowany. Chociaż wiadomo, że był poddany inwigilacji podwójnej: wewnętrznej i zewnętrznej.

- Prokuratura w tej akurat sprawie popełniła wiele błędów.

- Błędy popełnione w pierwszych godzinach śledztwa są nie do naprawienia i efekt jest fatalny. Nie wolno śledztwa opierać wyłącznie na jednej wersji. A tak - niestety - stało się w pierwszej fazie śledztwa.

- Zniszczono akta operacyjne MSW na księży.

- To olbrzymi cios dla tych i wielu innych postępowań prokuratorskich. Gdyby nie zniszczenie akt, to byśmy byli na innym etapie. Jestem głęboko przekonany, że z pewnością coś można było wykluczyć, a coś innego potwierdzić. A tak dziś wciąż jesteśmy na etapie, że wprawdzie brak jednoznacznych dowodów, że ksiądz Zych został zamordowany, ale wykluczyć tego nie można.

- Pracuję tu czterdzieści lat i nigdy prokurator nie kazał plombować zwłok – dziwił się doktor Władysław Dudek.

Staszak zapamiętał powiedzenie księdza:

- Nie liczy się człowiek, tylko sprawa, a zarazem - nie liczy się sprawa, tylko człowiek. Te dwa z pozoru sprzeczne stwierdzenia pozwalały mu zachować równowagę spojrzenia na życie drugiego człowieka. Sylwek był przekonany, że jeżeli sprawa tego wymaga, to człowiek musi przejść do porządku nad swoimi antypatiami, uprzedzeniami czy podejrzeniami. Zarazem nie można poniżyć, odepchnąć, ani zdeptać żadnego człowieka w imię żadnej, choćby najważniejszej sprawy.

Podziwiać trzeba, że człowiek, który w ciągu niecałych trzech godzin miał zaaplikować sobie litr mocnego alkoholu natychmiast po biesiadzie zdołał całkowicie się przebrać. Otwarte pozostaje pytanie, skąd miał i gdzie przechowywał strój na zmianę? Wreszcie - W jakim celu przebierał się we flanelową koszulę, skoro tamtej nocy w Krynicy Morskiej temperatura powietrza wynosiła 28 stopni Celsjusza?

Podczas libacji przy barze *Rivieri* dwaj mężczyźni mieli co rusz dopytywać personel lokalu gdzie można wypożyczyć jacht. W tej kwestii byli wręcz uprzykrzająco namolni. Pytanie powtarzali, jak - wyuczony? - szablon. Można odnieść wrażenie, że bardzo chcieli, aby personel koniecznie ich zapamiętał...

Ale i ta kwestia posiada znamiona irracjonalności. Bowiem ksiądz, odbywając statkiem

rejsy z Fromborka, schodził na keję portu w Krynicy, gdzie jednocześnie jest przystań jachtowo-żeglarska i - za przeproszeniem - tylko ślepy może tego nie zauważyć.

Krystyna Karos, wdowa po starszym sierżancie milicji Zdzisławie Karosie, nieco później powiedziała:

- Wiadomość o śmierci księdza Zycha wstrząsnęła mną. Zastanawiałam się, co to się dzieje, że znowu ktoś nie żyje... Mnie to bolało... Śmierć mojego męża była dla mnie strasznym ciosem. Zastanawiałam się: dlaczego?... Mimo to uczucie zemsty na sprawcach śmierci mojego męża było mi obce.

Iwona Sylwia Karos, bratanica, a zarazem chrześciana Zdzisława Karosa, w liście otwartym z 22 lipca 1989 roku do Prymasa Józefa Glempa, dzieliła się między innymi takimi refleksjami:

...Prześladowcy nie poprzestają na odebraniu życia kapłanom, którzy są dla nich niewygodni, starają się także odebrać im dobre imię. Tak dzieje się i teraz, gdy środki masowego przekazu szkalują postać śp. księdza Sylwestra Zycha.

Już za życia ksiądz Sylwester Zych był za swoje oddanie sprawie „Solidarności” odzierany z czci i godności kapłańskiej, gdy usiłowano przedstawić go jako mordercę... Nigdy nie uważałam i nie uważam księdza Sylwestra Zycha za współodpowiedzialnego za śmierć mojego stryja i ojca chrzestnego. Z pewnością nie jestem w tym przekonaniu odosobniona...

Pluton prokuratorów w ciągu prawie czterech lat śledztwa usiłował znaleźć wiarygodne odpowiedzi na szereg pytań oraz rozwikłać zagadkowe okoliczności śmierci księdza Zycha. Bezowocnie. W dalszym ciągu niewiele wiemy o rzeczywistym przebiegu wydarzeń poprzedzających zgon kapłana. Wątpliwości ubyło niewiele, przybyły natomiast nowe.

Napisałem książkę pt. Tajemnica śmierci księdza Zycha. Tuż po ukazaniu się publikacji, *nieznani telefoniści* sugerowali, że drażnienie tematu niewyjaśnionych zgonów księży może przysporzyć mi przykrości...

Zwłaszcza, że zawsze gdy zbliża się rocznica śmierci księdza, przytrafia mi się coś niezwykłego. Ostatnio - gdy wracałem z pracy - przed wejściem do autobusu, całkiem niespodziewanie, zagadnął mnie nieznany, starszy wiekiem kapłan: - Panie Grzegorzu, *jak długo chce pan żyć ze świadomością wyrządzonej krzywdy?* - zapytał.

Zamurowało mnie. Całkowicie. W tym momencie nadjechał autobus. wsiadłem. Odjechałem. Ksiądz pozostał na przystanku. Zdaje się, że kiwnął mi ręką na pożegnanie, ale nie jestem pewien... Jestem ciekaw kim był, ale być może już nigdy go nie spotkam. -

Niedługo po śmierci księdza spotkałem się z siostrą i matką zmarłego. Było to dla mnie duże przeżycie. Jedna z pań powiedziała: - *Niech pan się dobrze zastanowi nad rzuceniem tak strasznych podejrzeń...* To był chyba decydujący moment.

Całkiem inaczej zachowywał się na przykład prokurator R., z tej samej elbląskiej prokuratury. Kulturalny. Spokojny. Dał człowiekowi się wypowiedzieć.

Jeszcze jedno. W czasie przesłuchania kilkakrotnie do pokoju wchodziła jakaś kobieta. Przystojna. Około trzydziestoletnia. Elegancko ubrana. Z czarnymi, w kok spiętymi włosami. Zawsze wchodziła bez pukania. Po sposobie rozmowy prokuratora z tą kobietą mogłem przypuszczać, że jest to jego żona. Byli spoufaleni. Mówili sobie po imieniu. Ona moją obecnością w pokoju wcale się nie krępowała. Prokurator też. Mówił do niej:

- Wiesz, on powiedział, że...

On, czyli ja. Opowiadał jej, co zeznawałem. Kobieta udzielała prokuratorowi jakichś porad, wskazówek. Ja wówczas nie zdawałem sobie sprawy z roli i stanowiska tej kobiety, ani dziś nie wiem, kto to był, bo nie została mi przedstawiona. Faktycznie jednak mówiła prokuratorowi, w jaki sposób dalej ma mnie przesłuchiwać. Raz kobieta ta przyniosła prokuratorowi kawę. Mnie nikt nie podał nawet herbaty, ani kropli wody, chociaż prosiłem.

SZPAKOWATY ŚNI MI SIĘ PO NOCACH

- Był w towarzystwie innego mężczyzny o charakterystycznej fizjonomii. Wysoki, barczysty, z wąsami i bujnymi włosami; szpakowatymi, wręcz białymi. to człowiek o łatwej do zapamiętania urodzie.

Prokuratura tuż po ustaleniu, że w prosektorium elbląskiego szpitala rozpoznano „zwłoki nieznane” jako ciało księdza Sylwestra Zycha, zarządziła operacyjne poszukiwanie jego rzekomego towarzysza z baru.

Prokuratorzy na sukces nie musieli długo czekać. Już 21 lipca aresztowano Antoniego K., lat czterdzieści trzy. Z zawodu elektryk, zatrudniony w jednym z gdańskich przedsiębiorstw. Jego fizjonomia *pasowała* do opisu przedstawionego przez personel baru.

Antoni K. wyjaśnił prokuratorowi, że dobrze zna Krynicę Morską, ponieważ kilka miesięcy tam pracował. Ponadto - co ważniejsze - znał także księdza Zycha. Miał go poznać niecały rok wcześniej w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie, gdzie regularnie jeździł na nabożeństwa w rocznicę śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Prokurator przedstawił zatrzymanemu pośmiertną fotografię twarzy księdza Zycha.

- Nie. Na przedstawionej fotografii nie rozpoznaję księdza Sylwestra - zaprzeczył

Antoni K. - Nie byłem z nim, ani z nikim innym w barze *Riviera* nocą z 10 na 11 lipca 1989 roku.

Barman K. podczas konfrontacji przeprowadzonej w prokuraturze stwierdził, że Antoni K. jest n i e w ą t p l i w i e poszukiwanym mężczyzną pijącym z Zychem nieco przed śmiercią tego ostatniego.

Joanna U., Kelnerka w rzeczonym lokalu, uznała Antoniego K. za p o d o b n e g o do poszukiwanego mężczyzny z *białymi włosami*, lecz kolor jego włosów uznała jako nazbyt biały, więc stwierdziła, że w y k l u c z o n e , żeby to był on.

Dariusz O., inny kelner z *Rivieri*, także zaprzeczył, żeby widział Antoniego K. w barze.

Wynik konfrontacji oraz dobre alibi aresztowanego spowodowały jego uwolnienie. Prokuratura niechętnie dzieliła się tym niewątpliwym niepowodzeniem na starcie śledztwa. Barman Grzegorz K. przypomina okoliczności rysowania portretu pamięciowego „Szpakowatego”:

- Razem z Dariuszem O. siedzieliśmy w pokoju przesłuchań z rysownikiem milicyjnym. Ja opisywałem, jak zapamiętałem wygląd tego mężczyzny, a rysownik nanosił kreski. Dariusz O. dopowiadał szczegóły. Uważam, że portret pamięciowy, jaki powstał, był udany, bo odzwierciedlał wygląd tego mężczyzny z baru. Ten „Szpakowaty” śni mi się po nocach. Gdybym go zobaczył naprawdę, to rozpoznam go w każdej chwili.

Czy zdolność zapamiętywania u Grzegorza K. jest aby na pewno tak dobra, jak jego o tym przekonanie? Przebieg zdarzeń dotyczących śledztwa w sprawie śmierci księdza Zycha sugeruje, co najmniej ostrożność w ferowaniu pozytywnej oceny.

Leonard Krasulski, wiceprzewodniczący Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Elblągu, pokazywał mi opublikowany w gazecie komunikat prokuratury z pośmiertną podobizną księdza oraz szkicem pamięciowym „Szpakowatego”.

- Na tej fotografii ksiądz Zych na pewno nie jest do siebie podobny - stwierdził w sposób stanowczy. - Ja w każdym razie miałbym wielkie trudności z rozpoznaniem... Jeżeli portret pamięciowy poszukiwanego mężczyzny, który rzekomo był z Zychem w dyskotecce jest podobnie zniekształcony, to obawiam się, że mogą być kłopoty z jego odnalezieniem.

Barman z „Rivieri” snuje opowieść o „dziwnym przypadku”, jaki przytrafił mu się przed laty w Kołobrzegu:

Rano wyszedłem z domu do pracy. Pamiętam drogę do przystanku autobusowego, a potem już nic. Normalnie film mi się urwał. Nie piłem alkoholu, a skacowany obudziłem się w areszcie. Milicjanci poinformowali mnie, że ponoć ostro narozrabiałem. Miałem podobno pobić kierowcę autobusu, zdemolować pojazd... Pojawił się funkcjonariusz w cywilu.

Zaproponował puszczenie incydentu w niepamięć, jeśli zgodzę się na współpracę.

TEN, CO ZABIŁ KSIĘDZA

To jest chyba ten s...n, który zamordował sierżanta Korosa. Bandyta, „Alfons”, włóczęga i pijak nałogowy, jak żył tak ZDECHŁ. To samo czeka ciebie półgłówku śmierdzący...

Redaktor naczelny prywatnego pisma pt. DLA CIEBIE i dla Twoich Przyjaciół, po kilku publikacjach, przypominających okoliczności śmierci księdza Sylwestra Zycha (z jego zdjęciem), otrzymał anonim, którego fragment zacytowałem. Nie pierwsza anonimowa korespondencja dotycząca śmierci kapłana. Departament Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości w 1990 roku był adresatem wysłanego z Torunia listu następującej treści:

„Uznałem, że już czas ujawnić się jako mężczyzna szpakowaty, poszukiwany na okoliczność śmierci księdza Zycha. Grzecznie informuję, że szkoda Waszych kosztów i zabiegów w ujawnianiu rzekomo zagadkowej śmierci. Mimo mego ujawnienia nie znajdziecie mordercy, ponieważ to nie była śmierć fizyczna, a tylko psychiczna, jako wynik działania na sumienie, na psychikę mordercy pośredniego sierżanta Karosa.

Człowiek ten, ze wszech miar sprawiedliwy, uczynny, sumienny, dobry mąż i kochający ojciec, mimo noszonego munduru nie zasługiwał na taką śmierć. Jemu, człowiekowi mi znanemu zawdzięczam uratowanie życia z rąk bandycko-złodziejskiej szajki.

Na jego pogrzebie poprzysiągłem Bogu, że śmierć jego pomszczę tym bardziej, że nie była potępiona ani przez „Solidarność”, ani przez Episkopat. Część przysięgi zrealizowałem.

a) Księdza Zycha zamordowało sumienie, które przez długie miesiące niepokoiłem - równa to się śmierci kolegi sierżanta.

b) Zginie jeden z przywódców „Solidarności”, za których przyczyną doszło do nienawiści, bratobójczych porachunków, za cierpienia żony, matki nieletnich dzieci.

c) Zginie jeszcze jeden z wyższych duchownych, którzy zamiast potępienia zbrodni, politowania dla nieletnich dzieci, za niewinną śmierć ojca, nie udzielanie im jakiegokolwiek pomocy materialnej, duchowej.

Mimo noszonego munduru sierżant był człowiekiem wierzącym, natomiast katolicki Kościół Polski nie odprawił ani jednej mszy, nie odmówił ani jednej zdrowaśki za duszę sierżanta Inaczej było po śmierci księdza Popieluszki.

Zrealizowanie punktu b i c będzie trudniejsze, nawet mogę ucierpieć sam, ale przysięgi złożonej wobec Boga nie mogę złamać...

Szpakowaty. Prokuratura do prasy podała komunikat zachęcający osoby mające

informacje dotyczące autora pisma o zgłaszanie się w Departamencie Prokuratury. Odzewu żadnego jednak nie było. Ustalono, że sierżant Karos nie uratował życia „Szapakowatemu”, ani nikomu innemu.

Grzegorz K. wyjaśnia różne tajemnice swojego poprzedniego zajęcia: - Żaden z dwóch mężczyzn siedzących przy barze z p e w n o ś c i ą nie wypił dziewięciu czy dziesięciu *fikołków*. Młodzież pofantazjowała trochę z ilością. Gruba przesada.

„Młodzież” to kelnerka Joanna U. i kelner Dariusz O. ...

- W barze podpitym klientom nigdy nie nalewało się pełnych porcji. Myślę, że osobiście podałem im jakieś trzy, cztery *fikołki*, ewentualnie Darek jeszcze po jednym. Joaśka w ogóle nie miała prawa robić *fikołków* i ich naprawdę nie przyrządzała.

Te ilości alkoholu rzekomo podane obydwu klientom dziwnie rozmnożyły się podczas śledztwa. Jeśliby ktoś wypił tyle alkoholu, to moim zdaniem nie jest realne, żeby przeszedł jeszcze taką drogę, jaką rzekomo miał przejść ksiądz Zych. Kiedy znaleziono go na dworcu autobusowym, to ubranie miał czyste. A przecież musiał pokonać, sforsować zejście z kilkunastometrowej skarpy, bo dworzec leży na nizinie. Jeśli miał w sobie cztery promille alkoholu to jak to zrobił?

Bar *Riviera* po telewizyjnym występie personelu zyskał złą sławę. Grzegorz K. nie był kontent z takiego obrotu sprawy.

- Faceci przychodzili, siadali przy barze i dla draki zamawiali dziesięć *fikołków*. Nikt - oczywiście - tyłu nie wypił. Ale kilka tygodni po naszym *występie* w telewizji postanowiłem przeprowadzić eksperyment. Z kolegami umówiliśmy się wypróbować na sobie, czy zdołamy wypić dziesięć *fikołków*, czyli po sto gram wódki i dwieście (?). Piliśmy od jedenastej wieczorem do szóstej rano. Inni zawodnicy odpadali po pięciu, sześciu *fikołkach*. Ja jakoś się trzymałem. Na koniec zapiłem jeszcze rumem i na własnych nogach poszedłem do domu. Czuję w sobie alkohol, ale nie przewracałem się. Tylko że ja piłem siedem godzin! Ale żeby wypić litr wódki w ciągu gdzieś dwóch i pół godziny i nie spaść z barowego stołka - nie, to nie realne!

- W końcu lata albo już jesienią 1989 roku w *Rivierze* pojawili się bliscy księdza Zycha - kontynuuje Grzegorz K. - Siostra zmarłego powiedziała wtedy do mnie: *Niech pan się głęboko zastanowi, zanim pan tak strasznie kogoś osądzi*. Matka zaś dodała: - *Czy jesteście aż tak pewni wszystkiego, co mówicie? Nie macie żadnych wątpliwości?*

W pierwszej chwili słowa te raczej zbagatelizowałem. wkrótce jednak przyszło zastanowienie. A może to ja nie mam racji? Może się mylę? Z czasem nabrałem przekonania, że zostałem zrobiony w konia, jak to się mówi. Posłużyłem jako narzędzie do wielkiej

manipulacji, której finałem było oszkalowanie, pomówienie człowieka. Biły się we mnie rozmaite myśli.

Sumienie nie dawało mi spokoju. Dochodziły inne, nowe fakty. Po tym, jak dowiedziałem się, że krynicki proboszcz podczas kazania na mszy w piaskach z ambony powiedział o niesłusznym, posądzeniu kapłana przez personel *Rivierzy*, wybrałem się do niego z wizytą. Ksiądz proboszcz do niczego mnie nie nakłaniał, ale rozmowa wzbudziła we mnie dalsze wątpliwości. Zamówiłem Mszę Świętą w intencji duszy zmarłego księdza Zycha...

Miałem przeświadczenie, że za mną chodzą. Kto? Z milicji, albo ze służby bezpieczeństwa. Wie pan - to są pewne spojrzenia ludzi całkiem nieznanym, pewne słowa, sposób zachowania... Jeśli człowiek na tym trochę się zna, to wyczuje, nie ma dwóch zdań. Sam prokurator M. zapewnił mnie zresztą, że nie mam się czego bać, bo mnie chronią. wtedy nie zapytałem konkretnie: kto? - ale się domyślałem. Mógł to być nawet sam „Szpakowaty” odcharakteryzowany, bez przebrania. ...

Nieco miesiąc po śmierci księdza Zycha i moim *występie* w telewizji - z żoną i synem wyjechaliśmy na urlop do Zakopanego. W podzakopiańskiej wsi odwiedziliśmy rodzinę małżonki. W niedzielę poszliśmy do kościoła. Ksiądz zbierał kolektę. Kiedy podszedł do mnie, koszyk o mały włos z ręki mu nie wypadł... W czasie procesji miałem wrażenie, że ludzie pokazują na mnie palcami.

Później dowiedziałem się, że w tym samym czasie dwaj esbecy szukali ze mną kontaktu w miejscu zamieszkania, w Krynicy. Od sąsiadów oraz personelu w *Rivierze* próbowali brać namiary na miejsce naszego pobytu w Zakopanem. wkrótce potem - jeszcze w czasie urlopu - jakiś samochód usiłował mnie rozjechać i gdyby żona mnie nie odepchnęła - byłoby po mnie.

Nie wierzę, żeby te wszystkie zdarzenia były przypadkowe. Czułem, że moje życie jest zagrożone i dlatego bałem się ujawnić swoje wątpliwości dotyczące faktycznych okoliczności zgonu księdza Zycha. Mówią: strach nie grzech.

W dodatku rozpuszczano jeszcze plotki, że *bezpieka* kupiła mi samochód. Ale ja auta nie miałem i dotąd nie mam żadnego... Co jakiś czas do baru w *Rivierze* ktoś przychodził i wskazując na mnie, mówił:

- O, to ten, co zabił księdza.

Wywiad przeprowadzony z nami w telewizji - to czysta parodia. Z drogi do Elbląga - na przesłuchanie w prokuraturze - zawróciła nas milicja. Samochód, którym jechaliśmy zatrzymano na szosie i oficer milicji - stopnia nie pamiętam - zapewnił nas, że mamy wracać na kręcenie filmu, bo jest zgoda prokuratora. Z pana książki dopiero dowiedziałem się, że prokurator M. żadnej takiej zgody nikomu nie udzielił. Dlaczego i kto więc i w takiej sytuacji posłużył się kłamstwem?

Kiedy podjechaliśmy ponownie pod budynek *Riviera* - czekał tam już tłumek ludzi. Kto ich tam zwołał? Kto zawiadomił?... Sam redaktor Gołębiowski - który był szefem ekipy telewizyjnej - w sposób wyraźny, bez żadnego skrupowania narzucał nam pytania i sugerował odpowiedzi. Jak coś nie wychodziło - uczył, jak mamy odpowiadać.

Później dopiero zastanowiło mnie, skąd on znał przebieg zdarzeń z nocy z 10 na 11 lipca 1989 roku, skoro myśmy - jako personel - jeszcze nie zeznawali w prokuraturze, ani nie udzielali żadnemu dziennikarzowi wywiadu? Kto sterował redaktorem Gołębiowskim? Kto mu o nas powiedział?

To są pytania, na które do dziś nie umiem sobie odpowiedzieć, chociaż domyśleć się łatwo, że ster dla tego żagla musiał być w Warszawie.

Śledztwo w sprawie zgonu księdza trwało prawie cztery lata. Kilku prokuratorów usiłowało rozwikłać zagadkę śmierci kapłana. Przesłuchano kilkuset świadków, zebrano siedemnaście tomów akt śledztwa i zagadka rozwiązana nie została.

Prokurator Bogusław H. Michalski z warszawskiej Prokuratury Apelacyjnej, 4 grudnia 1993 roku złożył podpis pod postanowieniem utrzymującym w mocy zaskarżone przez pełnomocników Rodziny Zmarłego postanowienie Prokuratury Wojewódzkiej o umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci księdza Zycha. Nie omieszkał jednak stwierdzić w sposób tyleż wyraźny, co znamienny, iż wyniki śledztwa nie mogą być uznane przynajmniej jako zadowalające, gdyż zebrane dowody nie pozwalają nawet na dokonanie ustaleń o znaczeniu podstawowym, dotyczącym stanu faktycznego.

Matka Irena Zych: - Jak odwiedzaliśmy go w więzieniu, to mówił nieraz, że grożą mu zabiciem. Jak zamordowali księdza Jerzego, powiedział do mnie: - Mamo, oni mnie to mają pod ręką... Raz mówił, że chce wyjść z więzienia, a innym razem, że boi się wolności. I jak tylko wyszedł, to zaczęły się anonimy z pogrózkami i obietnicą śmierci.

Syn po wyjściu z więzienia nie miał spokoju. Tropili go wszędzie. W Zielonce po Mszy Świętej za ojczyznę, po raz pierwszy go pobili. Zbili i uciekli.

Ksiądz Sylwester, po zwolnieniu z więzienia, od 10 października 1986 roku pełnił funkcję kapelana Zgromadzenia Sióstr Rodziny Maryi w Warszawie-Białołęce Dworskiej, przy ulicy Ołówkowej 22. Mimo rozlicznych zajęć związanych z działalnością konspiracyjną, zawsze potrafił znaleźć czas dla chłopców z domu dziecka, prowadzonego przez siostry. - On kochał dzieci. W Białołęce przebywałem wielokrotnie; Sylwka przeważnie otaczała grupka dzieciarni. Nigdy nie miał za wiele pieniędzy, ale ostanie, jakie posiadał, potrafił przeznaczyć na cukierki dla dzieci. wiedział jak bardzo ważna dla tych chłopców jest każda chwila radości. Powtarzał, że chce być dla nich ojcem - wspomina Roland Staszak, przyjaciel księdza.

- W marcu 1989 roku brat był na przedstawieniu w warszawskim Teatrze Powszechnym - mówi Alicja Zych-Krasieńko. - Sylwek siedział w jednym rzędzie z Kiszczakiem. Przypadkowo, jak myślę. Z teatru wyszedł sam. Na przystanku czekał na autobus. Został zaatakowany przez dwóch mężczyzn, którzy błyskawicznie wciągnęli go do pobliskiej bramy. Obili go. Obezwładnionemu usiłowali do gardła wlać alkohol...

Skutkiem incydentu było wszczęcie postępowania prokuratorskiego, w wyniku którego ustalono, że napastnicy zmusili napadniętego do wypicia alkoholu, parokrotnie uderzyli go w głowę, a w końcu rozebrali do naga... Sprawcy zostali spłoszeni przez przechodzącą przypadkowo dziewczynę, która zaczęła wzywać pomocy. Napastnicy zbiegli, zabierając ze sobą saszetkę i ubranie pokrzywdzonego... Dziewczyna odwiozła Sylwestra Zycha do Białoleki - ustaliła prokuratura. Barbara Gawór, st. asystent Oddziału Neurochirurgii w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Warszawie:

- W maju 1989 roku, w obecności innych lekarzy uczestniczyłam w badaniu Sylwestra Zycha, którego poprzednio ani nie widziałam, ani nie znałam. Okazało się, że ksiądz miał złamane dziesiąte żebro po stronie lewej. Wydawało się, że opłucna nie została uszkodzona. O ile sobie dobrze przypominam, na plecach, na wysokości złamania, miał otarcie naskórka. Nie pamiętam czy miał inne widoczne obrażenia. Ksiądz nie chciał mówić o okolicznościach, w jakich doznał urazu. Jak pamiętam - otrzymał środek przeciwbólowy i chyba został zabandażowany, lecz przy tym nie byłam.

Kim byli sprawcy napadu? Niestety. Prokuratorskie starania podjęte nieco za bardzo post factum - nie przyniosły powodzenia. Postępowanie umorzono: sprawcy nieznani...

- Sylwek ostatni raz w domu rodzinnym był 21 czerwca 1989 roku, w moje imieniny - wspomina siostra księdza, Alicja. - Sprawiał wrażenie zastraszonego. Wieczorami nie opuszczał domu. Ani swojego, ani naszego. Bał się. U nas nie spał na wersalce, tylko - o, tu. Pod samym oknem. Mówił, że to na wszelki wypadek, gdyby ktoś coś chciał wrzucić do pokoju. Z wyjazdu na urlop cieszył się. Przed pożegnaniem powiedział:

- Mogę wrócić, mogę nie wrócić. Nie wiem... Testament jest w szufladzie...

- Słowa te - mimo wszystko - zaskoczyły mnie. Nie przypuszczałam, że będą to ostatnie słowa, jakie od brata usłyszę.

W Kurierze Mazowieckim nr 4/91, Roland Staszak pisał: *„Sylwek był człowiekiem niezwykle bezpośrednim, kapłaństwo nie oznaczało dla niego konieczności zachowania dystansu wobec innych ludzi. Przeczytałem później, już po jego śmierci, testament, w którym zawarł słowa: Dla wszystkich chcę być bratem... I rzeczywiście - taki był. Nienawidził komunizmu. System ten był dla niego zaprzeczeniem wszystkich wartości ludzkich i bożych.*

Jednym z jego największych marzeń było to, by zobaczyć upadek komuny i by na jej gruzach spotkać się ze wszystkimi ludźmi solidarnymi, którzy o wolną Polskę walczyli. Dlatego też, zaraz po wyjściu z więzienia, podjął współpracę z wieloma ugrupowaniami opozycyjnymi (KPN, NRS, „Solidarność”, grupa Polityczna „Niezawisłość”). W jego działalności wyczuwało się pewien pośpiech, tak jaby zdawał sobie sprawę z tego, że już niewiele czasu mu pozostało...

Częstym powiedzeniem Sylwka było: „Nie liczy się człowiek tylko sprawa i zarazem: Nie liczy się sprawa, tylko człowiek”. Te dwa z pozoru sprzeczne stwierdzenia pozwalały mu zachować równowagę spojrzenia na życie drugiego człowieka. Uważał, że jeżeli sprawa tego wymaga, człowiek musi przejść do porządku nad swoimi antypatiami, uprzedzeniami czy podejrzeniami, a zarazem - że w imię żadnej, choćby najważniejszej sprawy, nie można poniżyć i odepchnąć, zdeptać konkretnego człowieka, nie można go skrzywdzić, nawet gdyby wymagały tego względy strategiczne. W stosunku do siebie był bardzo wymagający.

Z początkiem lata 1989 roku otrzymał nominację na wikariusza Parafii św. Jakuba w Skierniewicach.

- Praktycznie obowiązków wikariuszowskich nie zdążył podjąć, ponieważ śmierć zaskoczyła go podczas przysługującego mu urlopu - powiedział ks. Grzegorz Kalwarczyk, z Kurii Metropolitarnej Warszawskiej.

Roland Staszak: - Po raz ostatni widziałem się z nim już po czerwcowych wyborach. Sylwek powiedział: *Teraz mogę już umrzeć...*

Przed umorzeniem śledztwa rozmawiałem z Aleksandrem Herzogiem, I zastępcą ministra sprawiedliwości w rządzie Mazowieckiego, doradcą ministra sprawiedliwości w rządzie Suchockiej. W ramach nadzoru prokuratorskiego zajmował się śledztwami mającymi wyjaśnić tajemnicze zgony księży, uważanych za wrogów upadającego ancien régime.

- Nie każde wszczęte postępowanie prokuratorskie kończy się ujawnieniem sprawcy. Nie każde ujawnione przestępstwo kończy się sądowym wyrokiem skazującym.

- W niektórych sprawach prokurator ma nawet przekonanie, że wie, jak było „na prawdę”, ale nie jest w stanie tego udowodnić.

- Wznowione po latach śledztwo w sprawie zabójstwa księdza Jerzego sprawiło, że na ławie oskarżonych zasiedli generałowie MSW, którzy dobrze wyreżyserowanym cudem, uniknęli procesu w roku 1984.

- Prokuratura spodziewa się, że proces sądowy pokaże szereg mechanizmów przestępczego działania w resorcie Spraw Wewnętrznych. Zwłaszcza, że „wpadka” Piotrowskiego i jego podwładnych, a także jego przełożonego - Pietruszki - nie była jakimś nadzwyczajnym incydentem, jak to usiłowano przedstawić opinii publicznej, lecz fragmentem

większej całości, wynikającej z świadomie prowadzonej polityki przynajmniej w niektórych komórkach MSW.

- Czy w sprawach zgonów księży: Niedzielaka, Suchowolca i Zycha można mówić o zbiegu okoliczności?

- Jeśli w ciągu krótkiego odcinka czasu - w niewyjaśnionych okolicznościach - następuje śmierć kilku księży będących w kręgu zainteresowań służby bezpieczeństwa, to nie sposób dopatrywać się w tym jedynie przypadkowego zbiegu okoliczności.